

E l ż b i e t a W a s y ł y k

k s z t a ł t
o b e c n o ś c i



Copyright © by Elżbieta Wasyłyk
All rights reserved

e-mail: elzbieta.wasylyk@wp.pl

Ilustracje
Elżbieta Wasyłyk
Epilog, olej, płótno 60x40, 2004

Fotografie ilustracji
Andrzej Biegowski

Projekt okładki
Dariusz Powchowicz

Korekta
Włodzimierz Ignasiński

Wydanie I

ISBN XXX-XX-XXXXXX-X-X

Wydawca
Biblioteka Parafialna
przy Parafii pw. św. Jana Chrzciciela w Trzciance
64-980 Trzcianka, ul. Żeromskiego 39
tel./fax 067 216 68 90

Skład i druk
Firma Arcan Elżbieta Rutkowska, Lucjan Rutkowski
64-980 Trzcianka, ul. Żeromskiego 3
tel./fax 067 216 50 20

*kształt obecności
jest rozleglejszy
niż rysunek ciała*

*gdy codziennością
dopełniamy siebie
kalejdoskop zdarzeń
układa się w niebo*

Epitafium I

Brzezińska mieszkała sama
długie godziny spędzała
między wschodem i zachodem
przesuwając wzrok po ścieżkach dużego pająka

rano do chaty wpadały przybrudzone promienie
po południu
w drugiej izbie
myszy przeglądały się w czerwonym słońcu
a gdy go nie było
wszystko cichło

Brzezińska mówiła mało
zazwyczaj
tak albo nie
albo jeszcze
bo ja tam wiem
a wielkie czarne oczy zdumione były
zaskoczone i przejęte

wszystko chowała w rosochatym środku
a potem zwijała się nagle
i nasycona lękiem wpatrywała się w zmurszały próg

a włosy jak grzęda przerzedzonej marchwi
poruszały się na wietrze
przyklejały do czoła
przyjmując kształt powoju
albo drutu

gdyby tak chłop jeszcze żył
mówiła

Gursztyn często poprawiał próg
myślał
ze świat każdą pracą dokańcza
przykładał deskę i bił gwoździe
a potem prostował się
ocierał czoło zostawiając ciemną smugę
i przez dwie cudem ocalałe dwójki splotał
później wchodził do izby
wieczorami siorbali herbatę
co dzień wrastali obok siebie
jak dwa różne chwasty po deszczu
i chociaż mówiono
że inni
to ten sam mechanizm
jeden wszechobecny
wplatał się w ich życie
i popychając czas wskazówkami zmarszczek
przygniatał do ziemi

Brzezińska też odeszła zostawiając chatę
wszystko tam żyło
pod otwartym dachem rozrastały się pająki
przy ścianie obok pieca dojrzewały motyle
rozrywały kokon chaty świeżym kolorem zaistnienia
i przeglądania się w sobie
później
obszar dialogu przesunął się na zieleń
pod słońce
i chata bardziej wtuliła się w ziemię

*

Brzezińska umarła latem
najgorętszemu słońcu oddała siebie

resztę zostawiając pod drzewem
pełnym owocu

Brzezińska umarła jesienią
bo koniec jest zawsze i wszędzie
jest i teraz

umarła idąc biała drogą
wszystko umilkło
czerwone rękawiczki rozgrzały jej palce

i wtedy popłynęły łzy

szła długo
tak długo
aż zapragnęła

i odeszła wiosną
bo wtedy łatwiej
gdy gołębie wszystko unoszą ku niebu

Epitafium II

Gursztyn nie pracował
sztywne palce od dawna nie chwytaly gwoździ
i młotka

a gdy słońce dzieliło się hojnie
przyrywał powieki
i wtedy noc
która była w jego wnętrzu

mnożona ciepłem
sprawiła
ze więcej światła mogło wejść
w jego przestrzeń

potem dziwił się
bo wszystko
co widział
widział na nowo

często obchodził pola i okoliczne lasy
zimą napelniał się ciszą
czuł
ze ma ona w sobie coś więcej niż samą siebie
że jest jak sklepienie nieba
które gromadzi wodę
i oddaje ją ziemi
aby dokonywał się nieustanny wzrost
wszystkiego we wszystkim

bywało
że bawił się słowami
które przyjmując niewyszukany kształt
wpisywały się bólem w okoliczne serca
dlatego tym bardziej dziwił się
gdy Brzezińska z cierpliwością wiązała mu buty
czasem czuł
że gdzieś w głębi siebie pięknieje
ale szybko zamykał drzwi i szedł w las

*

przed wiosną
wrócił zmęczony

i przemoczony drogą z pozorami nieba
potem długo leżał
Brzezińska poprawiała mu poduszkę
i obcinała paznokcie
a gdy przyniosła herbatę z cytryną
zdziwił się po raz ostatni
że światło zeszło tak blisko
do niego
i że miłość układająca się delikatną smugą
nad szklanką
jest bliżej
niż się spodziewał

Epitafium III

Gabrysia mieszkała w domu
którego zimą
gdy leżał śnieg
jakby nie było

śmiała się wtedy i mówiła
że nie wie gdzie mieszka
że nie wie dokąd iść

a gdy nie rozumiała
co mówią
stawała przy otwartym piecu
i rozgrzewała dłonie

później odchodziła
i przychodziła znowu

zawsze sama

może już wtedy
wołała
przyjdź
które nie było z chęci posiadania
ale zgodą na oderwanie od wszystkiego
może jej uśmiech był obfitowaniem ubóstwa
na nowo odkrywanego
które nie polega na zubożeniu
ale uporządkowaniu
którego nie rozumiałam

*

teraz
gdy mijam jej dom
przypominający zmęczonego anioła wśród pól
dzielę tę samotność

Epitfium IV

każdego dnia rodziła w sobie dzień
i każdej nocy umierała w sobie

obierała ziemniaki i gotowała ryż
dzieliła pomarańczę i zamykała drzwi
żeby jeszcze raz otworzyć je przed tobą
gdy przyjdiesz
by się przy stole

*

wczoraj
gdy
odszedłeś
długo siedziała przy oknie
potem
kropla przetarła mat na szybie
i spłynęła

Epitafium V

Marysiu
tak mówił do niej
gdy wnosił drwa
i układał przy kominie
a potem gdy stawiała przed nim talerz
z dymiącą grochówką
i gdy ujmował jej dłonie
aby otulić ciepłem
znad rozwichrzonej brody

*

od kiedy pamiętam
siadywała przy piecu

gdy przychodziłam
wyjmowała ciepły chleb
i smarowała go miodem

jadłyśmy bez pośpiechu
a potem
patrzyłyśmy w to samo okno

nigdy nie wiedziałam
gdzie kończą się jej dłonie
a zaczyna niebo

*

tamten styczeń pozamykał wszystkie drogi
a ona i tak odeszła

teraz moja babcia
Kilianka od wyciągniętych ku górze rąk
przed jutrznią
czeka na spotkanie ze mną

Epitafium VI

niedaleko Florencji
w miejscu
gdzie ziemia dotknięta jest różem
niebo rozbielonym ceruleum
a droga kołem pielgrzyma
jest dom

bez okien
i jak nadmorski piasek
bez możliwości urodzaju

Epitafium VII

to Epitafium jest dla Zofii

żyje
i wierzy
że będzie

może głupia
gdy ptak w locie
zrywa w niej nić pajęczą
w rozumie
i wznosi
na piętro spójnika
aby wiedziała
w czym rzecz

* * *

niewolnik
nie posiada siebie
ulega i żąda
w sekrecie

a potem zabija
w elokwencji i dyrektywach
w porównaniach i refleksji

nie znajdując miejsca
w wyjedzonych
metaforach od sensu istnienia
nadal pożąda
z horyzontalnym sukcesem
i bez wertykalnego sensu

jeżeli
nie mam tego
co chcę
nie mam tego
co jest
gdy chcę
nie składa się z iloczynu dobra
między nami
i ilorazu błędów pomiędzy

Wczoraj
przerzuciłam dzień
na jutro
ze zmęczenia
a on nie stracił wątku

bo myśl nie umiera
gdy przechodzi przez noc

i przybiera kształt
równoważący
oczekiwania

chodzę po ziemi
której nie znam
i nazywam
czego nie nazwałam

wydobynam ze środka
i nie ogarniam
to ból w okolicy
przypadłość w obecności

Indianie Nawajo
śpiewają
ze jest wyjście
z ciemnej doliny
jakiś tęczowy szlak

Suszą się dni
na białym sznurku
kończy się fioletowa strzelistość

tam za ścianą
wspartą solnym workiem
miłość Styks przepływa
a tu siedzi Ariadna
bez kłębka
i bez kochanka

Wyobrażam sobie
siebie
na niebie

niechętnie
pod skrzydłem Ikara
a przy kądzieli stereotypów
bywam
najczęściej
potem zgaga
i nie wiem
co jeszcze
w dołku
egoizmem trzyma

Poruszamy się w przestrzeni
wyznaczonej obrazami słów

pojęcia określają obraz
na tyle
na ile
wolne jest przebywanie
między nimi

drzewa
i zarybiona miedza
po obu stronach pustyni
wyrastają z mowy
a ostatnie
słowo szóstego dnia
dwucałe i niepodzielne
jest obrazem
i tworzeniem
odpowiedzialnym

Opowiadasz mnie
a ja dopisuję cię
bez naruszenia
bo kształt obecności
jest rozleglejszy
niż rysunek ciała

gdy codziennością dopełniamy siebie
kalejdoskop zdarzeń
układa się w niebo

niebo jest
spotkaniem
wiążą na nowo
pierwotną
z nitką cierpliwości
między nami
i ciepłym sfumato

mikroskop Twojego serca
nie myli
i nie odkrywa tajemnicy
między nami
dla innych

kocham
nie napina łuku
odpowiednio do celu
i nie usuwa pierzastych brwi
emocji



chcę
nie zawsze
wypływa z wolności
ale właściwa decyzja
jest jej przestrzenią

nazywam ciebie
nie mój
choć stół w nas
ten sam
i nie przerastam Boga

bo jest strukturą wzajemności
poza którą
nie byłbyś wolny
tak jak ja
nie byłabym sobą

Czym jest wolność
bez czasownikowych form
obecności
bez samotności
co przekracza siebie
jeżeli
jestem
jej nie wystarcza
to znaczy
że znaczy
wciąż więcej

błąd jest cieniem
echem pragnień
słowem na falochronie słuchania

choć wyruszyłam
z miejsca grzebania żywych
i umarłych
to Hagar i tak urodziła
kolejne dziecko mojej spekulacji

chociaż
zajeżdżone konie Trabantu
na szrocie
zbyt słabe
są jeszcze
by znaczyć
zbawienne memento mori
to za posesją
z kropidłem palmy
syntetycznej
w środku
dobro i tak się rozrasta
od Słowa
do słowa

chociaż trącani skrzydłem Ikara
nie dorastamy do ojca
to Bóg
i tak się rodzi

i nie na peryferiach

ale w człowieku

wbrew unifikacji oczekiwań
i poza cybernetycznym spletem

* * *

Ballada o jednym talencie

To było przed wojną
słońce wschodziło tak samo
a lato kończyło się jaskółczym wykrzyknikiem
niezmiennie
o Michale
mówiono
że nie ma talentu
do szkół nie pójdzie bo słaby
i do wojska też
bo garbaty

a matka
rozgarniając te słowa
jak zeschnięte liście
powtarzała
że dobre z niego dziecko
i zamykała drzwi
by na chwilę zostawić wieś za progiem

*

często wychodził
w pole
o świcie

przyglądał się łanom
czarnym
potem zielonym
i złotym

a gdy wybieliło się wszystko
w jego spojrzeniu
począł na kolejną wiosnę
i na żonę

*

latem w ich sieni
pachniało podpiwkami
dla mężczyzn przy żniwach
a jesienią
na górze
jabłkami i ziarnem

toczył się z jego domu
złoty nie fałszowany
i nie wiadomo innym
dlaczego
ludzie pracowali u niego
jak na swoim

często powtarzał dzieciom
że kiedy człowiek
bez lęku
zaczyna pracę
a ona nie jest swawolą
i nie jest murem obronnym
to zawsze buduje dom
z otwartymi drzwiami

i radosnym poruszeniem w oknie
które przyjmuje kształt
i zrozumienia
i pochylenia

*

wieczorem weszła śmierć
bo drzwi
były otwarte

a nie przyszła nagle
i była zdziwiona bardziej niż ktokolwiek
bo zobaczyła spuszczone skrzydło anioła
na którym leżał starzec
i powtarzał

Panie
jaki tam talent

a deszcz wymknął się z nieba
i nim spłynął po suchej reszcie
zapukał
przeliczył
i krzyknął ulewą
że
dwieście

* * *

błogosławiony
czasie wzrostu

w zapachu czarnej skiby
kładzionej dokładnie na desce
i pod zasiewem

życiomierzu serdeczny
życiosterze bezbłądny
życiorysie

przymierze słońca
z księżycem
poza korcem
i niepokojem

błogosławiony w zmierzchu
w każdym cichym odejściu
i w zmartwychwstaniu
już teraz

* * *

Ballada o końcu świata

Dla Mascalla
nie ma przypadku
jest on nim
w stosunku do przyczyny szczegółowej
do powszechnej jest przewidziany

przewidziane
dźwiga w sobie brzemień wolności
jak często
eschatologicznie wbiega w dobro

Berta Bauer
nie myślała
ani o przypadku
ani o końcu

w jej porządku
człowiek dławił się krwią
nie przypadkiem

a wojna
przypadkiem
albo nie przypadkiem
była bliżej końca
niż początku
o czym nie mogła wiedzieć

z gorliwością neofity
wciąż dla niej
pracowała

nie przypadkiem
chłopcy z hitlerjugend
nie czuli się dobrze
powietrze w Licheniu
jakby z inną gramaturą tlenu
a tak naprawdę
i ziemia
i błękit
uwierały
i w stopy
i w serce

w piątek przed południem
wyruszyli w stronę kościoła św. Doroty
Berta dokonała już wcześniej sądu
nad światem
wyrok wykonali wspólnie
na figurze Chrystusa
Berta krzyczała
że Boga nie ma
a w refrenie słychać było
strzały

w metalowym wizerunku Ukrzyżowanego
uwięzły gwoździe kul
ucichły wrzaski

słońce świeciło jak przedtem
Berta spojrzała każdemu w twarz
trudno powiedzieć
czy coś widziała

po południu
podjechała furmanka
woźnica niechętnie zeskoczył
i załadował bagaż

słyszał o wszystkim
toczył w sobie walkę
przeszedł swoje
borodino
waterloo
i potyczkę nad rzeką
nigdy
nie daruję

zwycięzał
i przegrywał
potem znowu zwycięzał
sumienna waga sprawiedliwości
rozhuściła szale jego serca
obie czerwone

jedna z miłości
druga z nienawiści

gdyby nie krzyż
który od kilku lat
był jego kręgosłupem

nie jechali zbyt szybko
właśnie skończył się las
i zaczęły pola
koń rozgarniał ogonem
natrętne muchy
a Berta rozparta na siedzeniu w tyle
myślała o domu
o ulubionym fotelu
w którym od lat
tkąła w sobie wizje nowego świata

Po chwili ocknęła się
powietrze rozedrgane pracą silnika
tym razem wprawiło ją w lęk
przez chwilę
samolot leciał nad nimi
po serii strzałów
odbił

Berta

jeszcze żyła
coś dzieliło się w niej
potem łączyło
jakby czas nie istniał
jakby
nic nigdy nie miało końca
usłyszała jak pastor czyta
że o dniu owym i godzinie nikt nie wie
nawet aniołowie niebiescy
tylko sam Ojciec

kręciła się w ławce
starsza siostra poprawiła jej kołnierzyk

potem zobaczyła chłopców z hitlerjugend
bali się jej
bali się Berty
rzeszy Bert
rzeszy Bauerów



a ona z uporem krzyczała
że Boga nie ma
nerwowy śmiech
nagle przycichł
bo

matka
stanęła w drzwiach
i wołała
Berta do domu

teraz defilada w Berlinie
ojciec w mundurze
i ten krzyż
znowu ten krzyż
i pastor
wciąż czyta

wtedy dwóch będzie w polu
jeden będzie wzięty
drugi zostawiony

słońce dotknęło ziemi
woźnica przeżegnał się
przykrył ją kocem
i ruszył
przejęty

ja drugi
zostawiony

Topografia ojczyzny

nad falującym torem przeszła kobieta
albo ktoś inny
nie wiem
ludzie
którzy przeszli
i nie wrócą tu w żadnym innym kształcie
oprócz pierwszego
też są

tor wcina się w horyzont
bo chwila złudzenia
i czas patrzenia
nie zmieniły kierunku
do Krzyża

z Siedliska do Runowa
jest droga
prosta
jak do piekła
i wąska
jak do nieba

*

wspomnienie
we mnie wzrasta
wciąż pierwszy dom
powraca
staje między lipami
otulony czerwoną cegłą

choć
budujemy teraz nowy
inny od tego z dachem kolektywu
to kształty uczuć te same
i tyle we mnie innych

wyciągnęłam nogi
jak kiedyś
na chwilę
a grusza
której już nie ma
maluje cieniem kształty
na suficie

*

do Runowa przyjechaliśmy w kibitce
od dzieciństwa cierpiałam w nim
na brak kościoła i historii
gdy po czterdziestu latach
mama usunęła gruz po pastorówce
widelec z pokręconymi od ognia zębami
i wygrawerowanym napisem Traute Jaeckel
przypadł mi w udziale

w domu
po kryjomu
wyjadałam katarzynki
i nektar z lata zamknięty w wiadrze
w pokoju od północy

wiosną śpiewałam
po górach
dolinach

na przedszkolnym podwórku stał żaglowiec
gdy wsiadałam
pędzle traw moczyły się w błękanie
pod lipą budowaliśmy namiot
żeby zimą wspominać noce poza domem

*

za płotem
w środku ogrodu
rosła czereśnia
a za nią szkoła

przez rozchylone powieki poddasza widziała
jak uskrzydlenie żaby wywołało chaos
jak nad ziemią zawisły owady
krzycząc
że ziemia jest od tysięcy
a to nie prawda
jest od minuty
pamięta jak Adolf Warnke sadił ostatnie drzewo
i nie doczekał pierwszych owoców
jak w pośpiechu zakopał dziennik
rachunki i lzy
wsiadł na wielki samochód
a potem minął kościół po lewej
i ostatni zajazd

*

z pastorem było inaczej
nie zdążył
po czterdziestym piątym
nikt nie wiedział

że gdy w czterdziestym czwartym
zaczął czytać Ewangelię Mateusza
w miejscu gdy Jezus mówi
błogosławieni miłosierni
albowiem oni dostąpią miłosierdzia
jego głos się załamał

ludzie zamarli
bo właśnie wtedy
Hans
który niczego się nie bał
i ludzi słabych miał za nic
upadł
ludzie długo mówili o tym
stara Rita
która mu posługiwała
od śmierci żony
widziała
jak wieczorem wyprowadził
chorego parobka z obory
kazał przygotować mu łóżko
w pokoju za kuchnią
i wszystko co trzeba

* * *

pod lasem
między Wawrzyniakami i Bednarskimi
mieszkał gospodarz z rodziną
mówili o nim
Stachu Dubiak

lubiłam jego obecność
to jak trzymał lejce

jak klaskał w powietrzu
i głaskał konia
batem
by ten nie zapomniał
kto prowadzi

nie gniewał się
gdy w wysuszony rów
wprowadziłam wóz z sianem
bo ani wóz nie był jak ten z obrazu Boscha
ani on jak dżdżysta pogoda

niech będzie pochwalony
wszyscy wiedzieli
kto i dlaczego

po lekcji religii szłam do kuchni
jego żona robiła makaron do rosółu
dla rodziny
i księdza

mówiła
poczekaj

a gdy upiekła chleb
i zrobiła masło
bierz i jedz

teraz rozumiem
jadłam to samo

na sklepową mówiliśmy Ciotka
pod rumianymi policzkami

jak chomik
trzymała wiejskie tajemnice
a potem nagle pozbywała się wszystkich

dwa razy do roku wydzielala pomarańcze
i bez ograniczeń czekolady z łowickim pasem
przez środek

wczoraj widziałam ją w pociągu
wsiadała w Biernatowie
wnosząc z sobą blady owal twarzy
w siatce zmarszczek
i pogodne spojrzenie
w woreczkach powiek

*

na skwerze przed pegieerem
leżał kubik czerwonego kamienia

ludzie mówili
że to po ambonie
mówili też
że dywany są jeszcze
to tu
to tam

często wchodziłam
i wygłaszałam z niego mowę
do tych
których jeszcze nie było

*

ojciec uśmiechnął się
gdy zobaczył mój samolot
a zimną narty
które zrobiłam z surowych desek
prostych jak blat stołu

gdy zrozumiałam sens formy dla funkcji
rodzice kupili mi inne
w Trzciance

tego sklepu już nie ma
spłonął
marzyłam w nim o wielkich podróżach
potem widziałam
tylko plac
z szachownicą podłogi

teraz są kozie łby
teraz mówią
u Margańskiego
a gra i tak wciąż trwa

o życie

*

nad rowem
koło Natkańca
gdy moczyłam nogi
Adam powiedział
że Ipa i Dulin nadmuchują żaby
a one pękają

i że to samo robił Hitler
gdy był mały

długo wpatrywałam się w wodę
była zbyt płytka
by się w niej zanurzyć

pamiętam kolor kamieni i drobnych rybek
zarośnięte ruiny domów
i tylko jeden nowy
zbudował go mój ojciec
dla Raczewskich

pamiętam
jak czekałam na przyjaciela

jak zmęczona snem
zastanawiałam się
dlaczego tam za oknem
za drzwiami
dzień sapie już od świtu
i wciąż stuka kulawe koło gnojnej taczki
którą regularnie pcha sąsiad

nie wiedziałam
że trójdniowy pejzaż Noteci
który był wciąż poza Runowem
stanie się świadkiem spotkania

nie wiedziałam
że miłość przychodzi
jak śmierć
niespodziewanie
że Paweł spada z konia

i wbrew wszelkim prawidłom
ma się lepiej
że trzeba
wciąż coś zostawiać
by być obecnym

być może wiedział o tym Skowroński
który jak Niechcic
wyruszał bryczką w pola
a w niedzielę białą syrenką
do kościoła

Masiułekwiczowa wciąż szukała skrótów
a Bóg i tak kreślił swoje
bez asów
pików i dam

jej mąż słuchał Wolnej Europy
to była nasza wspólna tajemnica

kierownik szkoły
jak cyfra siedem
inny i milczący
częstował mnie
ulubionymi gruszkami Adolfa Warnke
a gdy nie liczył
nie uczył
i nie plewił
grywał na akordeonie

Orłowski był sołtysiem
miał wielką warszawę i czarny telefon przy oknie
jego żona wypiekała ciastka na amoniaku
z dziurkami w środku

Sosnowej z figurą żylastą jak pień winorośli
wystarczył rów obrośnięty łopianem
i spokojny mąż

babcia Dubiakowa odciskała twarogi
wielkie jak poduszki
a pani Balicka pod inne
wkladała kolejną przeczytaną książkę
potem opowiadała o dwóch takich
co ukradli księżyc
i wracała do Przemineło z wiatrem

pytałam
co to znaczy
co znaczy
żyć dobrze

przy otwartym piecu jak przy kominku
uczyłam się słuchać

pani Stasia gotowała kluski
szare jak pola pod lasem
a potem układała je na kwadratowej misce
wyciągniętej z ziemi
bo ziemia w Runowie
do dziś trzyma tajemnice pokoju i wojny

gdy Anita poznała litery
przeczytała mi
że partia siłą narodu
a ja widziałam
jak mama miała jej coraz mniej

w czasie
gdy odkryłam
że mój ruch nie ma nic wspólnego
z ruchem wirowym ziemi
zapropozowano mi rolę Koszałka Opalka
buntowałam się
zimą zbudowałam kolejnego bałwana
i wtapiałam się w jego cielsko
nie przestałam jednak szukać wiosny

latem dwaj bracia przywozili lody
w skrzynce
w kolorze ecru
w takim samym jak kredens
który zostawili w domu po Wilnem

lodów już nie jem
ale jeszcze słyszę
wydziedziczone matki
płaczące jak Rachel
na Wschodzie
i na Zachodzie

*

w siedemdziesiątym
wieczorem
zaczął bić dzwon
mama przeżegnała się i podbiegła do okna
po drugiej stronie drogi
płonęła stodoła
z zapasem na zimę
ojciec poszedł gasić

gdyby nie Maryja w oknie
nasz pokój na poddaszu też by spłonął

rok później
usłyszałam dzwon
po raz ostatni
łkał
skarżył się tym
którzy go rodzili

wybiegłam z domu

Helmut i Helga
stary Wolfgang i pastor Thomas
odprowadzali go
w obecności świętych obcowania
do Górniczy

potem rozebrano
dzwonnice

stary Mazur spochmurniał
wydusił z siebie
że teraz
Runowo jak bez serca
rzucił wielki klucz w trawę
mrużąc
teraz on psu na budę

a ojciec pochylił się nad nim
ujął
i podał go mnie

* * *

Emma Spickermann
siedziała nad Biblią
pastor Thomas wręczył jej również srebrny krzyżyk
w dniu Konfirmacji
w czterdziestym pierwszym

odnalazła go wczoraj

z trudem łąpała oddech
spoglądała na mnie
jak zbiornik wody
wyłupiastym okiem błękitu

widziałam strach i rozpacz
przebaczenie i współczucie
widziałam w jej oczach topografię Runowa
jej dom
który stał obok naszego
i kamienną drogę do szkoły
rów z namiastką słuzy
w którym krowy moczyły pyski
i dom Gabrysi
której babka Ursula Henke haftowała makatki

widziałam
wielką salę ze sceną
na której rodzice wytańczyli jej życie
i zlewnię mleka
której strumień wysechł
przed moim urodzeniem

zapytała o trzy stare ciotki

których nikt nie chciał przyjąć
bo wszyscy bali się wojny
pytała
czy pamiętają gościnę u mojej matki
w ciepłym jak piec przedszkolu
pamiętały
a pamięć choć rozszabrowana na naszej poczcie
i dopchana szarym papierem nieuczciwości
nie raz
budziła we mnie uczucie współbycia

pomyślałam
że kat też jest ofiarą
najpierw samego siebie
że prawda
za którą tęsknimy
jest głębsza niż ludzka sprawiedliwość
albo proteza miłości
ubrana w naiwność

tej nocy
Emma nie spała
nad ranem uchyliła trzecie oko
i zaczęła mówić

pochyliłam się
aby lepiej słyszeć
chwyciła mnie za dłoń
i wyszeptała

wczoraj Jesteś dla mnie jak teraz
a jutro będziesz jak już
wczoraj będziesz wciąż nowy
jutro jesteś ten sam

wciąż Inny od tego
o którym dziś myślę
że kocham

ile lat trzeba nosić trawę w sercu
piasek w butach
i deszcz w okularach

pięść w kieszeni
i wiór z miłości

ile lat rozumieć
żeby zrozumieć
i nie zrozumieć

ucieczka od świata
bez ucieczki
a ucieczka do Chrystusa
bez Chrystusa
nie ma znaczenia



Posłowie

Emma Spickermann i Adolf Warnke mieszkali w Runowie. Od 1967 roku i ja w nim mieszkałam. Do matury dzieliłam dom na mieszkanie i przedszkole, które prowadziła moja matka. W latach siedemdziesiątych byłam świadkiem ciekawego odkrycia.

Okazało się, że pod godłem państwowym, które wisiało w przedszkolu, znajdują się dwa pamiątkowe obrazki od Konfirmacji - Adolfa Warnke z początku XX wieku i Emmy Spickermann, nieco skromniejszy z 1941 roku. Później oglądałam naczynia stołowe wyciągnięte z ziemi przez znajomych, którzy przygotowywali miejsce pod warzywniak. Od tego czasu zaczęłam tęsknić za historią Runowa.

Radość spotykania ludzi, którzy osiedlili się w nim po 1945 roku, a których niezbyt licznie wymieniam w „Topografii ojczyzny” i „Epitafiach”, ze względu na troskę o formę przekazu, stała się kolejną przyczyną pracy mojej wyobraźni.

„Epitafia” powstały wcześniej i nie zamierzałam w nich, tak samo jak w „Topografii ojczyzny”, być dokumentalistką. Bardziej niż historia, która jest niewątpliwie nauczycielką życia, interesuje mnie prawda o człowieku, sekret jego szczęścia; sekret błogosławieństw.

Klucz od dzwonnicy jest u mnie na Lipowej w Trzciance.

Trzcianka 19. września 2006, 2007